

MIŁODY POLAK

REDAGOWANY PRZEZ MŁODZIEŻ SZKOŁ OPOLSKICH

27 1947



BEZPŁATNY DODATEK DLA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ „NOWIN OPOLSKICH“

KS. M. BANACH.

Tyle bieli...

Tyle bieli!

Z piór łabędzich, czy anielich?
Jakby skrzydeł ich podmuchem
Świat się okrył białym puchem.

W białych pióropuszech — drzewa,
Wzrok się bielą ich zdumiewa.
Bielą strojny i puszysty,
Świat jest jakiś uroczysty.

Śniegu płatki nieustannie
Lecą, — by się ścielić sannie,
Dla chłopczyków, dla dziewczek,
Dla maleńkich ich saneczek.

Już we wspomnień mych oddali,
Brzęk dzwoneczków słyszę w dali,
Jak srebrzyście drżą po śniegu,
Widzę sanie w pełnym biegu...

Tyle bieli!

Bielą świat się uweseli,
W bieli co obficie leży,
Każdy ślad powstaje świeży...

Tyle bieli się wynurza,
Że cud bieli myśl odurza,
A w biel słońcem rozjaśnioną
Patrzę duszą wybieloną...

CZESŁAW KUREK

My i wy

Lecą wasze szkolne dni. Już półroczce. Patrzycie w nasze strony. Choć właściwie wy wszystko wiecie. Wiecie, co która, co który umie. Może tylko to uzyska w naszych oczach inną ocenę?

I jakbyście na nas nie patrzeli, patrzycie inaczej dziś, niż wasze koleżanki, koledzy, którzy patrzyli na nas w takich momentach przed wojną. Tak, może półroczny wstrząs na chwilę nas rozdzielił, ale jedno pozostanie: nie było w polskiej szkole nigdy takie bliskie „my” i „wy”, jak teraz, jak obecnie, zwłaszcza na Opolskim Śląsku.

Z większością z was zawarliśmy bliską znajomość w czasie wojny jeszcze. Tak, to komplety. Przychodziliście do naszych domów, przekraczaliście niejednokrotnie sanktuaria naszych bibliotek, widzieliście nasze troski, bliskie naszym, waszych rodziców, czekając czasem „kolejki” bawiliście się z naszymi dziećmi.

I myśmy przychodzili do waszych mieszkań, do waszych domów i rodzin. Wspomagaliśmy się razem w dniach grozy, nieraz bledliśmy razem, — jednym słowem — walczyliśmy razem, bliscy.

Razem jechaliśmy na opolską ziemię, w jednakowych wagonach, z inwentarzem. A w tym wszystkim moment najradośniejszy: jakże pogłębił się nasz wzajemny szacunek.

Prawda, to wy i my staliśmy się żołnierzami sprawy narodowej, tak, wy i my staliśmy się odsiewem szczególnie zdrowego ziarna, ale to nie wyczerpuje wszystkiego. W tych warunkach odbudowaliśmy ten szacunek, jaki musi istnieć w demokratycznym ustroju, w szczerze demokratycznej szkole, a czego, przez niewłaściwą przedwojenną tradycję zwłaszcza szkoły żeńskiej, uzyskać nie mogliśmy. Tak, w tym przeżytym okresie znikły między nami, obustronnie, niskie i górne progi domów i serc.

Do nowej Polski myśmy przyszli z najszczerzej demokratyczną instytucją: polską, wyzwoloną, poszerzoną szkołą, na każdym stopniu.

I to jest nasz wielki majątek narodowy, z którego nie nam uronić nie wolno, owszem, powiększać go. Trudny powojenny okres w tym jeszcze więcej winien nas hartować.

To trzeba sobie przypomnieć. Zwłaszcza wam, starszym, którzy tu najwięcej macie wobec Narodu i nas. Ta, z wojny wyrosła tradycja, musicie razem z nami napełniać szkołę. Wśród uzupełniania braków niekompletnego warsztatu nauki wojennej musicie znaleźć czas by czynnymi być w społecznych poczynaniach młodzieży. Wy musicie nizać naszą bliskość w organizacjach młodzieżowych, w samorządach, w akcji samopomocowej. Wy musicie budzić często wspomnienia w obozach uczniów, nauczycieli. Musicie zrealizować to, co mówiliśmy wczoraj, co mówimy dziś, że demokracja to nie tylko zwiększenie praw, ale i wzajemnych obowiązków, które, zresztą, nie tyle są ciężarem, co potrzebą człowieka.

A ci, co przygotowują się do odejścia, już też niech wiedzą, że my jesteśmy niekompletni, i że spośród nas ciągle wielu powołuje Przedwieczny Nauczyciel do swej niebieskiej szkoły, nie wiemy czy na profesorów czy na uczniów, ale tutaj na ziemi, nas coraz mniej.

Wzajemny, głęboki szacunek, demokratyczny, uspołeczniony duch szkoły woła was, najlepszych, najzdolniejszych, ale przede wszystkim najbardziej ideowych, demokratów nowej szkoły.

Jedna kartka z dziejów Tajnej Szkoły

Na skutek apelu, wystosowanego do ogółu nauczycielstwa w sprawie przesyłania danych z dziejów Tajnego Nauczania w czasie okupacji hitlerowskiej, niektórzy z pośród Kolegów (żanek) przestali swe wspomnienia z tego okresu.

Oto jedno z ciekawszych:

We wsi Łany, gminy Wodzisław, pow. Jędrzejów powstał jeden z większych kompletów Tajnego Nauczania. Powstał on w listopadzie 1940 r. i trwał do stycznia 1945 r.

Był to komplet rozwojowy.

Początkowo siostry Fritzówny, nauczycielki udzielały lekcji poszczególnym uczniom, tak w zakresie szkoły powszechnej jak w średniej.

Ze skromnych początków komplet tak się rozwinął, że np. w dniu 1. 9. 1943 r. liczył 25 chłopców i 29 dziewcząt, w tym szkoła powszechna obejmowała 14 dzieci w wieku 8—14 lat, 40 uczennic liczyło 4-ro klasowe gimnazjum o typie humanistycznym.

Komplet nosił nazwę „Nasza szkoła”. Mieściła się ona w domu jednej z siostr nauczycielki Nowakowej Rafeli. Klasy zajmowały 4 pokoje. Osobny pokój z piękną biblioteką i pianinem (prywatna własność Fritzównych) był świetlicą szkoły. Pianino stanowiło pewnego rodzaju alibi kompletu, gdyż napływ młodzieży tłumaczono lekcją gry na pianinie.

Uczniowie w 70% rekrutowali się z ludowych sfer, resztę stanowiła młodzież pochodząca z inteligencji miejscowej lub wysiedlonej z Wielkopolski.

W tej zapadłej wsi, w której nikt poprzednio nie uczył, w najgorszym bo najniebezpieczniejszym okresie, istniał niestychany pęd do nauki.

Przychodziły dzieci ze wsi odległych o 5 i 6 km. nie bacząc na śloty, błoto, zimno i zawieje, a także na niebezpieczeństwo grożące na każdym kroku.

„Nasza szkoła” otoczona była nieustającą opieką i miłością młodzieży i ludności. O jakimkolwiek niebezpieczeństwie szły zewsząd ostrzeżenia. W czasie trwania lekcji stała zawsze straż przed szkołą i na rozjeździe dróg. Sprawował ją ktoś z rodziców, rodzeństwa uczniów lub postronnych życzliwych osób. Wzmoczona czujność istniała w czasie uroczystości i obchodów, do nich należał uroczysty początek roku szkolnego (3 września), zakończenie roku szkolnego (28 czerwca) i obchody świąt narodowych.

W życiu kompletu szczególnie zmieniającym był rok 1943.

W listopadzie tegoż roku przyszło ostrzeżenie, iż komplet został zadenuncjonowany w starostwie. Nauka została przerwana na 2 tygodnie. Ponieważ jednak przenosił się w owym czasie starosta jędrzejowski, więc życzliwy kompletowi urzędnik starostwa skorzystał z chwilowego bałaganu i zniszczył ów fatalny dokument.

„Nasza szkoła” dalej kontynuowała swą działalność. Lecz w maju 1944 r. nad kompletem zawisły znowu ciemne chmury. Ciche wieści głosiły, że ten sam konfident znów denuncjuje „Naszą szkołę”. Naukę znowu przerwano. Na szczęście zginął z rąk „Jędrusiów” nieprzyjazny kompletowi konfident.

Tak więc cały ciąg pracy kompletu pełen drastycznych momentów. Jedną z uczennic była córka konfidentki, która ze swą matką walczyła często o istnienie „Naszej szkoły”. Cały komplet odetchnął gdy w końcu 1943 r. została zgładzona przez partyzantów.

Tak więc w trudzie i napięciu narwowym przetrwał komplet do stycznia 1945 r. W chwili wkroczenia armii rosyjskiej ujawnił się.

Nabożeństwo dziękczynne, odprawione w intencji kompletu zgromadziło tłumy ludności ze łzami dające wyraz umiłowania polskiej szkoły. Serdeczną przedmowę podnoszącą wartość pracy w Tajnym Nauczaniu, wygłosił miejscowy ksiądz proboszcz, któremu „Nasza szkoła” winna wiele wdzięczności za moralne poparcie szkoły w ciągu całego jej istnienia.

„Nasza szkoła” była zaczynem, który spowodował w duszach miejscowej ludności, dążenie do nauki i oświaty.

Kwitnie ono i rozwija się nadal.

Dzisiaj okoliczne szkoły średnie, a także Zawiercie, Sosnowiec, mieszczą w swych murach znaczną ilość młodzieży, pochodzącej ze wsi, należącej do zasięgu „Naszej szkoły”.

M. T.

W ODWIEDZINACH U STAREGO KANI

Rozgadana gromada uczennic gimnazjum wysypała się do domostw Starych Siołkowic.

Jesień.

Lysiejące, żółte, ceglaste rdzawe drzewa sterczą jak ruiny opolskie.

Pod nimi tylko nieustępliwe, jak Słazaki murowane domostwa patrzą chytrze, choć niby bez połysku niebieskością okien.

Niebo odbijają.

Skracamy i już jesteśmy u celu. Zwykłe deski chłopskiego płotu — podwórze, na środku w miejscu poczesnym — gnojownia. Zdziwienie. Pryśnął czar oczekiwania. Tu przecież jechaliśmy z Opola. Zbieraliśmy się obroszeni na stacji przez okna wagonu nie wiele w świetle widzieliśmy.

I teraz mamy — jak pan profesor mówi — wzorową gnojownię.

Nastroj się jednak szybko odradza, bo w oknie zamigotała sylwetka czerstwego staruszka. Wychodzi.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — wołamy.

— Na wieki. A pójdziecie bliżej. —

Wechodzimy do schludniutkiej izby, w szafce mającej książki, firanki sypią misternie światłem, przebrany już przez nieopadłe jeszcze liście jabłoni.

Donoszą krzesła — dużo nas.

— Jak przetrwaliście z takim jaśnym duchem tyle germańskiego naporu?

Słyszemy za odpowiedź wiersz jednego z kolegów — działaczy, co już nie żyje.

— Ja jestem Polakiem z krwi kości i ciała

I choćby mnie niemczyzna i zatopić miała

To na wirach wypłynę i Niemcom do ucha

że jestem Polakiem, krzyknę co mam ducha.

I oto sypią się wspomnienia z pierwszych narodowych uniesień, rysuje się sylwetka księdza Bomkego, co do wsi dla młodych chłopaków pierwszą gazetę polską zaprenumerował, jak to jej zabrakło; zjawia się postać Koraszewskiego, co jako przybyły inteligent do pracy solidnej się wziął, Staroopolanin wydawał, za niego w więzieniu siedział, o przeorze Ojców Franciszkanów co za artykuł w Staroopolaninie, też pół roku przesiedział w więzieniu i zdrowie stracił, słyszymy i o tym, że i p. Kani trzeba było trzy miesiące bo sztandar rezerwistom, organizacji służącej zniemczeniu, od kościoła porwał

i do stodoły schował, a nasiał wydał — jak to uświadomienie powoli ale ciagle, ciagle rosło po chałupach.

A najprzyjemniejsze dla nas jest to, że to właśnie młodzi wieś opolską rozruszali, oni mieli najwięcej odwagi, oni to siejbę Koraszewskich podejmowali i czynem polskim rośli.

P. Kaniowa wnosi, jeden, drugi trzeci półmisek kołaczy, ale młodzież, tę zawsze dziś głodną młodzież trzeba trącić, by jadła, bo słucha, jak tradycje walki stary Kania przekazuje nam, młodzieży. I opolskiej i przybyłej.

Boć jesteśmy i takie — i takie w jednej gromadzie klasy, a jest przecie z nami młodzież z Chroście, co nas tu jako przewodnicy, przyprowadziła od stacji.

Zbiera się na słowo od nas.

Któraś musi powiedzieć, tyle wystuchawszy — jedne patrzą na drugą, — ale na podwórzu alarm, syn dyrektor szkoły rolniczej przyjechał. Bo nasz Kania synów kształcił, jednego w miejscowym szpitalu ma dyrektorem, drugi właśnie przyjechał, trzeciego też wykształconego czeka, aż wróci ze świata po wojnie.

Wychodzimy i my, rozbiegamy się wzdłuż płotów, podziwiamy piękny gołębnik stojący na środku podwórza.

— Cieszę się gdy żywe wysoko lata — mówi nam gospodarz.

Za płotem uwijają się jeszcze pszczoły, jesiennym południowym słońcem przygrzane, oczko gospodarza.

Z jakąż lubością patrzy na nie, bez niczego do uli podchodzi — pokazuje — nie ugryzie żadna.

Pisk.

Wszędy wścibskie uczennice zobaczyły coś w klatkach sporego, co się ruszało i uciekło a one nie wiedzą co to jest. Dochodzi nasz gospodarz podnosi wieko i znów — szur do basenu jeden po drugim — bober amerykański nutria. Ma bowiem hodowlę zwierząt futerkowych, tych właśnie bobrów. Jeszcze raz patrzymy na naszego kochanego gawędziarza nowymi oczyma.

I tym on jeszcze umie być?

Tak, nieraz w Polsce spotykało się chłopów dobrych, w gawędzie mądrych, w myślach o dużym dorobku działacza ale często niezaradnych gospodarzy.

Tu wszystko tak porządne, nawet ta właśnie gnojownia — co wokół chodzimy, w tyle rozpiera się pękata stodoła, tam brzęczy pszczoła, tu znów w beton ujętych klatkach widzimy szereg gniazd z basenami o dopływie wody, nutrii.

Piękna synteza polskiego chłopca.

— Niejeden to taki — słyszymy.

Trzeba wracać. Pożegnanie. Wychodzimy na ulicę.

Głowy te przedtem wybustrzone, pochylili się od treści myśli.

Ale nie na długo, bo Lusia zaczyna przypominać fragment naszej recytacji zespołowej — wszystkie podchwytną:

... rośniemy jak młody las
w łaskawym cieniu tych duchów,
lecz przyjdzie czas,
urośnie z nas groźny bór!

Chyba te słowa nasz stary p. Kania słyszał.

Wzdłuż drogi mający też młody las. Jakże on teraz nam bliski. Jakże do jego zieleni wyciągają się ramiona naszych oczu.

Wzrastamy!

Rośniemy!

Wygramy!

— — —

Jak to Opolanin odwiedził Sienkiewicza

(Dokończenie).

Poszli na plac. Tłum. Rozmaity, a taki spokojny. Na środku pomnik okryty płótnem. Widać tylko granit najpierw jasny, jakby biały, potem czerwony, potem żółty, czarny. Na podwyższeniu Komitet, w nim Henryk Sienkiewicz. Chciał mówić — władze nie zezwoliły, mimo, że tekst przemówienia im przedłożył. Było coś strasznie dławiącego w tym momencie.

Przecież to uroczystość poety, mocarza słowa! W ciszy w takiej okropnej, ale tężejącej ciszy orkiestra zagrała poloneza Chopena. Ta melodia polska przełamala się przez cenzurę. Spadły płótna, spiżowy posąg — drogowskaz stanął nad Polską w stuletnią rocznicę urodzin wielkiego Ducha.

— Niech ci będzie cześć i od polskich serc! O daj ty siły i nam! — poleciało z westchnieniem całego narodu.

Po odświeżeniu po południu rozpoczęły się tajne wielkie zebrania, jedno dla inteligentów, drugie dla chłopów i ciągnęły się długo, długo w noc.

Trzeba było iść na nie pojedynczo, skrycie.

Nareszcie weszli nasi do wielkiej sali.

Kto przemawiać będzie od wsi?

O, jest zgłaszających się dużo. Kania jeden z pierwszych. Chytry Cieszyński dorwał się najpierwszy. Chytrze zaczął mówić, że trzeba się myśleć przeniesić do samych źródeł, skąd wypływają pierwsze krople Wisły, której dorzecze, ziemię stały się naszą kolebką. A tam właśnie u źródeł Wisły oni, Cieszyńscy, budują polskie gimnazjum, w czym powinna im pomóc cała Polska. Zrobiło to wrażenie, posypał się grosz. Ale Kanię zgniewała taka mowa w takiej chwili. To też, kiedy przyszła jego kolej nawiązał do Cieszyńskiego, że trzeba zwrócić oczy do źródeł naszej siły narodowej ale nimi są przede wszystkim matki — Polki.

Niech żyją Warszawianki! — zakończył.

Zahuczała sala. Wzięło to wszystkich, a Warszawianki, których sporo było na

sali — najwięcej. Rozerwać go chcieli na obiad. Ale nigdzie nie poszedł. Natomiast poszedł na zebranie inteligencji, zaproszono go z tym, że ma mówić. Nim przemówił, już go oklaskano. Mówił Kania, przypomniał jeden wiersz z Krakowskiej gazety, ale widział, że na stołach pieniędzy sporo, że dla Opolszczyzny można by pomoc walną zyskać, gdyby tak cel konkretny, jak Cieszyński na tamtym zebraniu rzucił.

Ale cóż, w chłopskiej głowie, co dopiero przecierać się zaczęły, od razu nie da się znaleźć, a Koraszewski w więzieniu. Gdyby tak był, może inaczej wyglądałyby dzieje polskości w Opolskim. A tak znów oklaskany Kania pojechał tym razem już na obiad zaproszony przez upartą Warszawiankę.

Nie skorzystał wiele, chciano znów by mówił, a zajęć był do jedzenia za suchy. Ale po obiedzie powiedziano mu:

— Pójdzie pan do Sienkiewicza w delegacji od polskiej wsi.

KAROL KASZNIC.

Niziny i szczyty

Trzeba, by się obniżyły szczyty, a niziny ku szczytom się wyniosły, by zaczęły wybiegać w błękity, trzeba, żeby wstały i urosły.

Szczyty zbyt nad ziemię wybiegły, a niziny zbyt się obniżyły.

Trzeba mocy, by razem się sprężyły w jedno źródło harmonii i siły.

Drzewo, które zbyt w górę pomyka, krzew, co ledwo po ziemi się ściele: nie urodzi owocu to ziele, trzeba wprawnej ręki ogrodnika.

Trzeba, by się obniżyły szczyty, a niziny ku szczytom się wzniosły, by zaczęły wybiegać w błękity, trzeba, żeby nad ziemię urosły

— Pamięta Kania każdy szczegół z tej wizyty. Pamięta jak zeszli się z Cieszyńskimi i dwoma góralami u p. dr. Ciszewskiej z Petersburga. W mieszkaniu Sienkiewicza przewodnik dotąd nieodstępny został w poczekalni. Dalej poszli sami.

Wielka chwila — pomyślał Kania, — że to ino nam wolno iść do Niego.

Weszli. Żywa, piękna postać, znana z tylu ilustracji, tak pełna godności przy odsłonięciu pomnika. I książki, — same książki, ściany z książek, ba, pod ławkami, na których siedzieli, aby nie tracić miejsca, też książki.

W czym wam mogę pomóc? rzekł pisarz. Cieszyński znów zaczął o swoim gimnazjum. Sienkiewicz wyjął sto złotych rubli.

— I pieniądze wezmę, ale prosilibyśmy o ciepłe słówko w gazetach, by pomógł nam cały kraj.

Dobrze. A z wami zwrócił się do górali — to o waszych potrzebach porozmawiamy sobie pod Tatrami, w Zakopanem, niedługo tam jadę.

— Pięknie prosimy.

Kania mówił ostatni. Wśród tylu książek nie miał śmiałości.

— U nas radzi czytają wasze książki. Polska, którą Niemcy nam zohydza, u was jest wielka i musi być wielka, bo kulturę wielką ma, bo wielkie dzieła wydała. To nam udowadnia, że Niemcy kłamią, to nas budzi, to nas wzmacnia.

— Przysłać wam moje dzieła?

— Prosimy, prosimy.

Wziął adres Kani Sienkiewicz i książki pięknie mocno oprawne przyszły pocztą do Siolkowic. Czytała je wieś i synowie wywieźli do szkół do lektury.

Trza było wracać. Trza było wstąpić do Częstochowy, by choć dla oka pamiątkę przywieźć, jako że tam mieli być. Zatrzymali się w karczmie aby jakoś na ławie choć noc przedrzemać, bo wieczorem przyjechali.

Skądże to? zagadnął karczmarz.

— Z Opola.

— Przecież nie z tej strony przyjechaliscie.

— Z Warszawy wracamy.

— Z odsłonięcia pomnika może?

— A tak!

— O! moi panowie! nie tutaj będziecie nocować.

Zabrał ich do swojego mieszkania, do porządnej kolacji z rodziną, zasiedli, ale tak nie prawie nie spali, całą noc opowiadali o wielkich przeżyciach narodowych. O zapłacie za gościnę nie mogło być mowy.

Mając jeszcze pieniądze z Opola i z Warszawy, nakupili pamiątek dla wszystkich krewnych i znajomych. Na

EDMUND CAŁKA.

Co oznacza wyraz: Opole

Tyle się pisze i pisze: Opole, Śląsk Opolski, Opolszczyzna, a właściwie niewiele ludzi wie, co te pojęcia oznaczają. Etymologia tych słów właściwie do niczego nie doprowadzi, bo znaczenia ich trzeba szukać zupełnie gdzieindziej — w zamierzonych czasach, w prasłowiańskiej tradycji tych ziem, w pierwotnej organizacji lechickiej.

„Opole” był to związek społeczny sąsiadujących z sobą szczepów, wchodzących w skład plemienia lechickiego. Rody czy szczepy, żyjące w „opolu”, zobowiązane były na podstawie niepisanej choć wszystkich wiążącej umowy, do solidarnych świadczeń w sprawach granicznych, solidarnych ofiar na rzecz wspólnego dobra, solidarnej walki w razie zagrożenia, solidarnego odpowiadania za przestępstwa itp.

Prasłowiański ten wyraz jedynie na tym terenie utrzymał się do dziś jako nazwa krainy i miejscowości. Jest to o tyle charakterystyczne, że wyraz „opole” znany był również innym plemionom słowiańskim, nie zyskał jednak praw obywatelstwa, przechodząc raz na zawsze do historii ustroju społecznego Słowiańszczyzny.

Fakt, że wyraz „opole”, będący synonimem solidarności pewnej społeczności w obronie granic, zachował się do dziś na najbardziej na zachód wysuniętym bastionie polskości, świadczy korzystnie o Ślązakach. Na przestrzeni wieków oderwani od Polski, zmagający się z nawałą germańską — dla podkreślenia swojej solidarnej postawy w obronie praw polskości przyjęli —

dla określenia swojej krainy i stolicy — prasłowiańską nazwę — Opole.

„Opole” więc — to przykazanie Polaków, te ziemie zamieszkujących — z czasów okupacji niemieckiej, — solidarnie walczyć o polskość, dziś solidarnie pracować nad odbudową powojennych zniszczeń w wolnej już Polsce.

150-ta rocznica urodzin Józefa Lompy

Apel Instytutu Śląskiego

W czerwcu 1947 r. przypada 150 rocznica urodzin Józefa Lompy (1797—1863) pioniera odrodzenia narodowego na Śląsku. W związku z tym Instytut Śląski przygotowuje szereg wydawnictw poświęconych temu niezwykle zasłużonemu Ślązakowi oraz zamierza zorganizować wystawę jego książek i pamiątek po nim.

Celem zebrania jaknajbogatszego materiału i wobec dużych trudności w dostarczeniu do wydawnictw Lompy i pamiątek po nim, Instytut Śląski zwraca się tą drogą do wszystkich osób, które byłyby w posiadaniu książek tego pisarza, jego portretów, rękopisów itp., o łaskawe wypożyczenie ich na pewien okres z całkowitym zagwarantowaniem zwrotu oraz przy wyrównaniu poniesionych kosztów.

Zgłoszenia prosimy kierować pod adresem:

Instytut Śląski,
Katowice, ul. Warszawska 37.

stację, na dalszy bilet (przy granicy to wówczas było) dostali karteczkę, po rosyjsku napisaną. Ckliwe było z czymś nieznanym i to po rosyjsku pisanym iść. Ale poszli. A tu kasjer serdecznie ich wita, bilety daje i jeszcze po dziesięć złotych rubli każdemu!

Dojechali nocą do Opola. Trza iść do domu. A tu prawie siedem nocy nie spali, a dwadzieścia kilometrów iść nie zarty. To też kiedy szli, przez połowę drogi Kania spał a Kampa prowadził,

a potem znów Kampa spał a Kania prowadził. Ale miejscami to obaj spali i musieli nieraz potem drogi szukać. Dobrze, że była noc i nikt nie widział.

A potem w domu było dużo radości i ojciec nie gniewałby się byli, gdyby jeszcze drugi tydzień synowie byli w polskim świecie, na co mieli taką straszną ochotę i pieniądze. Ale i tak mieli wypchane piersi wielkimi przeżyciami